

chem uciekali, nie wiedział, jak długo tak stoi. Serce biło mu młotem, usta zwolna się poruszyły:

— Przecik raz.

Nagle postać owa podeszła ku niemu.

Jemu kolana zadygotały, w oczach pociemniało, jak człowiekowi, stojącemu u progu wielkiego, niespodziewanego szczęścia.

— To ty, urwiszu jeden, zbierasz poziomki? rozległ się głos surowy, groźny.

— Pamiętaj, hultaju, że jak cię raz jeszcze znajdę, to.

Tu uczuł Józko gwałtowne szarpnięcie za uszy i czuprynę. Słów reszty nie dosłyszał, taki zamęt powstał w jego głowie. Gdy przetarł kufakiem oczy, jakby dla przekonania się, czy nie śni, nikogo już obok siebie nie widział. Serce mu się ścisnęło, że oddychać nie mógł, a uszy dotkliwie bolały.

Głosem tedy wybuchnął łkaniem:

— To nie był on. . .!

* * *

Jeszcze przed kilku miesiącami skończył był Józko piąty rok życia, a teraz osądziła matka, że czas już, by się zajął uczciwą jakąś pracą, bo to doprawdy wstyd przed ludźmi i obraza boska, że taki berbecie wciąż próżnuje.

Józkowi oddano więc naczelną komendę nad stadem gęsi.

Zasmakowawszy w samotnych rozmyślaniach i wędrówkach, wiedząc jak inni towarzysze żyją swobodnie i przyjemnie, uczuł się malec obecnie bardzo biednym. Związano go z gęsmi, jakby nicią, tak że niechby jedna się oddaliła, pociągła i jego za sobą. A on leżał na murawie, trawiony niewymowną tęsknotą i boleścią wskutek doznanych zawodów, co chwila jednak musiał przywracać porządek w swoich szykach, lub gonić uciekinierów. Gryzł chleb wyniesiony z domu, ale głodu całkowicie nie zaspakał; męczył się i dręczył przy spełnianiu żmudnych obowiązków, mimo to brał baty, a duszą wciąż rwał się gdzieś indziej. . do swego ideału. Cera jego twarzy zaczęła się podobną do popiołu, a oczy — do drżących, zaćmionych ogników.

— Rety. . . dumął z żalosnem westchnieniem. — Kiedyż się mój anioł-stróż zlituje.

Skwarne lato paliło go swymi promieniami, a on patrzył w błękit: a nuż on spłynie. . Niedaleki las okrył się zielenią i kwieciami, on spoglądał tam z utęsknieniem: może się ukaze.

Udręczony, rozgorączkowany puścił się Józko raz jeszcze w wędrówkę.

Posuwał się powoli, z główką spuszczoną i rękoma zwieszonymi, jak zwiedłe łodygi. Na skraju wioski dostrzegł drożynę piękną, białym piaskiem wysypaną, prowadzącą do wysokich, ślicznych sztachetów, jakich jeszcze nigdy nie widział.

Poszedł malec tą ścieżką prosto przed się, przestąpił furtkę ogrodową i nagle stanął olśniony.

Tuż przed nim — niby to łąka, co leży za młynem, a przecież nie łąka. Drzewa obsypane białym puchem, domek, podobny do kaplicy, opleciony zielenią i kwiatami, grządki niby malowanki, — to wszystko tak cudnie pięknie przedstawiało się jego oczom, tak uroczo, że roztworzył źrenice i usta szeroko i pomyślał: Czy to pałac, gdzie królewna zaczarowana? czy tu raj ten, o którym matuś mówiła?

Naraz głos jakiś donośny, z dźwięcznym, wesołym śmiechem połączony, przerwał spokój i ciszę.

Malec tam się posunął. Uszedł kilka kroków i raptem przystanął. Szarawa twarz jego oblała się rumieńcem.

Na trawniku, wśród kwiatów, siedział chłopczyzna, ubrany tak, że się odeń błyszczało i obracał w rękach konika, co to wyglądał jak żywy, jeno że mniejszy. A obok tego chłopczyka — tuż obok. .

Przecudne zjawisko! Smukła, wspinała postać, cała w bieli, stała wsparta o drzewo i z głową pochyloną patrzyła na bawiące się dziecko z takim uśmiechem i takim okiem, że Józkowi serce tajało. Stała wśród blasków i wni, różowa, promienna, z twarzą cudnie rozjaśnioną, w ręku różczkę trzymała czarodziejską, z ramion rozwiewał jej wiatr skrzydła białe. . Stała pełna anielskości i słodyczy i miłośnie złożyła rękę na główkę chłopczyzny.

Bez tchu, tamując oddech patrzył w nią Józko. — Ach! to senne jego widziadło — na jawie! O Boże — to on!

W zachwycie, w upojeniu malec stracił przytomność. Chwiejąc się z silnego wzruszenia postąpił naprzód. Brodził przez grządki, łamał kwiaty, a przysunawszy się blisko ukląkł w ekstazie najwyższej, złożył rączki i jął mówić:

— Aniele Strózu mój. .

Anioł się odwrócił. Dostrzegł dziecko chłopskie, którego włosy rozczochrane pełne były trawy i mierzwy, któremu twarz zamurdzana, kościasta, palająca, oczy zamglone, i poszarpane, brudne strzępy ubioru nadawały wyraz brzydoty i dzikości. A ręce jego złożone, a minka pobożna wskazują przecie najlepiej, że to żebrak. I takie stworzenie tyle spustoszenia tu sprawiło!

Postać owa zrobiła ruch gwałtowny a twarz jej poczerwieniała.

— Hej, jest tam kto? krzyknęła.

Z pałacu wypadło dwóch ludzi. Jeden był lokajem, drugi nauczycielem domowym.

— Aż tu zalażło to tałałajstwo! zawołała niezmiernie zirytowana. — Co tu szkody, co zniszczenia. . Tak wy pilnujecie!

Osłupiałego z przerażenia Józka porwał lokaj i prawie w powietrzu uniósłszy za furtkę, rzucił na ziemię i w złości kopnął nogą.

Krzyk przeszywający z piersi niespełna sześciolatniego Don-Kiszota, zranionego na ciele czy na duszy, rozległ się w powietrzu. Nauczyciel doń przyskoczył.

Podniósł chłopca, przemówił doń łagodnie, serdecznie, wypytał szczegółowo o dzieje pogoni za marą i wyrzekł do siebie z gorzkim uśmiechem:

— On we dworze szuka anioła stróża. . Ha, ha, ha! we dworze! . .

* * *

Poturbowany, osowiały, zbiedzony zawlókł się Józko na pastwisko. Położył się na trawie a łzy spływały po jego twarzy. Płakał długo, konwulsyjnie, a jednak mu nie ulżyło. Ciężka zmora tłoczyła jego serce, dławiła go boleśnią.

Obudziła go matka, którą zadziwiło, że mimo spóźnionej pory nie wraca do domu.

Ku ujawieńszemu swemu przerażeniu dostrzegła ona, iż kilka gęsi zaginęło.

Rozpacz ogarnęła te nędzarkę. Zwalila chłopca na ziemię i niemilosierdzie zaczęła okładać.

— A ty taki, ty owaki. .

— Matuś najmilejsza! wołał on, zanosząc się od płaczu. — Ja myślał, co anioł-stróż czuwa. .

Kobieta w jeszcze większą wpadła pasję, i targając go za włosy, grzmocząc pięściami wołała:

— A ty od czego masz oczy? a ty na co masz ręce? Sam nie masz rozumu?

* * *